

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 4 Kwietnia 1914 roku

No 14.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

14

— Mariette... Piekło i niebo cię stworzyły! Kto ty jesteś?

— Najniższa sługa lady. Dziwna dziewczyna...

— A powiedz... Mów prawdę. Zawsze ze mną tylko prawdę... Powiedz, czy wówczas tam, w klasztorze w Troyes...

Do drzwi zastukał ktoś mocno.

— Kto tam?!

— Ada, to ja. Czy można?

— Ty, Lucy?

— Piekielnic nie mogę spać. Wpuść na chwilę!

— Ależ, chodź! My zupełnie nie śpimy, czytamy sobie...

Lady Hartley знаła Lucy dobrze, wiedziała o jej ukrytej ranie, wiedziała o jej strasznych paroksyzmach rozpacz, ale w owej chwili nie mogła odrazu zebrać myśli i, widząc straszliwie zmienioną twarz przyjaciółki, zawołała nieostrożnie.

— Lucy! Co ci jest?

— O, nic, moja droga! Spać nie mogę. Przyszedł cię ponudzić, i pewnie zrobię ci jakąś scenę. Jakiś dyabeł mnie dziś opętał.

— Lucy, kochana, najdroższa...

Ale Lucy nienawidziła wszelkich pocieszeń. Wymknęła się z rozpostartych objęć i usiadła. Z nienawiścią patrzyła na piękną dziewczynę.

— Jeszcze piękniejsza. O, Boże miłosierny.. Jakaż piękna!

Mariette upajała podziwem i bólem, jak tajemniczy, rozchylony kwiat. Zdawała się niepodobnem do prawdy złudzeniem. Biła od niej rozkosz, szal, zatracenie.

— Tamci na dole jeszcze hałasują. Gdybym była mężczyzną, piłabym dziś z nimi nazabój. Niech będzie przeklęty los, który mnie stworzył niby — kobieta!

— To są brutale! Paru zapędziło się aż na nasze piętro, chodzili po korytarzu i gadali głośno, jak u siebie.

— Trudno, takie wiekopomne wydarzenie... Ale piją! Ojciec pokazał się tam tylko z grzeczności, może na kwadrans, a jak powrócił na górę, już wygadywał brednie... Dziwnie mi jakoś wyglądasz, Ado? I pani również strasznie dziwna...

Lady Hartley ukryła się w cieniu — Mariette uśmiechnęła się wesoło i odrzekła:

— Czytałyśmy tu pewną, dość dziwną książkę. Lady była oburzona. Ale ja broniłam autora. Tak mało ciekawego w dzisiejszej literaturze...

— Ada, daj mi się czego napić!

Lucy już wyglądała nieprzytomnie. Mariette przyniosła jakąś butelkę, kieliszki, suche ciastka. Lucy z zawziętością wychylała kieliszek po kieliszku.

— Pićcież! Niech mademoiselle się nie gorszy. U nas w Ameryce to zupełnie przyjęte. Gdzie mademoiselle kupiła taką oryginalny peniuar? Nie widziałam nigdy ani takiej tkaniny, ani takiego fasonu.

— Dodaj: ani takiej cudnej dziewczyny...

— Naturalnie, naturalnie...

— Mariette uroczy każdego. Wczoraj bawiłyśmy się w stroje. Ubrałam ją we wszystkie moje klejnoty. Na głowie dyadem, dyamenty w uszach, trzy kolie na szyi, naramienniki, po dwie bransolety i pierścienie na wszystkich palcach. Puściłam wszystkie światła... Była, jak bóstwo...

— Jak katolicka madonna, obwieszona wotami. To zawiele!

— Zobaczysz sama. Mariette, do roboty! Jak wczoraj!

— Ależ, proszę pani...

— Mademoiselle wystarczyłyby dyadem i perły na szyje...

— Perły? Chyba twoje... Wierze...

— Owszem, mogę jej darować.

— Ha — ha!...

— Naprawdę!

I Lucy wstała, zatoczyła się nieco, ale mocnym krokiem poszła ku drzwiom.

— Zobaczysz jedyne na kuli ziemskiej perły Lucy... Nikt nie ma takich i nieprędko ktokolwiek będzie miał podobne. Dwieście cudów świata, zebranych i nanizanych na jednym sznurku...

— Nie chcę! Nie chcę! Boję się takiego straszego bogactwa...

— Gdyby mi je Lucy odstąpiła, kupiłabym dla ciebie zaraz. Ach! Jak cię kocham!...

— Cicho, Ada! Cicho!... Na miłosierdzie boskie, bądź rozsądną!

— Kiedy ja oszalałam!

— Co robisz, zlituj się...

Mariette zaledwie zdążyła z siłą odepchnąć rozentuzymowaną swoją panią. Weszła Lucy, dźwigając oburącz skórzane, owalnej formy pudło. Postawiła je ciężko na stole.

— To takie ciężkie? — spytała ze zdziwieniem Mariette.

— Skrzynka jest stalowa, niby zabezpieczona od rozbicia i od ognia. Ale dla złodzieja nie będzie zaciężka.

— Jaka śliczna!...

Mariette z podziwem i ze skupieniem przyglądała się artystycznej robocie étui. Brunatna skóra opasana była ze wszystkich stron złotymi obęczkami, które przecinały się i spletały w misternym rysunku.

Lucy otworzyła zameczek i do była pełną garścią naszyjnik, nie patrząc, i z siłą cisnęła go na dywan do nóg Mariette.

— Masz! Chyba tylko taka, jak ty, jest warta...

Urwała i zaczęła zapalać grube ojcowskie cygaro.

Mariette z przerażeniem cofnęła stopy, jakgdyby ją sparzyło dotknięcie bezcennych klejnotów. Chciała je podjąć z ziemi, ale nie śmiała wziąć tych pereł do ręki. Odurzył ją waryacki gest miss Lucy, niepojęta trwoga zdejmował ją ten skarb, poniewierający się na ziemi.

I zgroza zdjęła śmiała, zuchwała dziewczynę, która chytrym i przeni-

kliwym rozumem, pełzając, jak żmija, już oddawna zagłębiła się w puszcze trudnego życia. Zamaciła się zawsze obecna i czujna męska świadomość hrabianki de Colardeau, której już nie obce było wiele z rzeczy nieprawdopodobnych, zdarzających się w świecie, do którego się nareszcie dowrała po latach ciężkich zabiegów i strasznych ofiar.

Jakgdyby dopiero w tej chwili pojęła tajemnicę bogactwa i zmierzyla całą jego głębię. Wiedziała o naszyjniku miss Lucy, znała jego cenę. Cyfra, gdzie dużo, dużo zer — cztery miliony... Znała wszystkie klejnoty swej pani...

Jednak ta garść pereł... Kruche ziarenka, które w jednej chwili rozdeptać można na proch, na nic...

Cztery miliony! Nie świecą, jak wielkie brylanty, nie pieczą oka, jak drogie kamienie, nie ważą, jak złoto... Bogactwo, leżące u jej stóp, zdawało jej się nieprawdą, chimera, absurdem.

Zapłacono za nie dlatego, że są jedyne na świecie. Budzą podziw, bo niepojęta jest ich cena. Gdzież ich wartość? — Gdzie tu prawda?

I życie bogaczy, to samo, na które patrzyła codzień już od pół roku, wydało jej się nieznanne i potworne, jakgdyby ludzie ci zrzucili nagle maski, czyniące ich podobnymi do reszty świata. Obnażała się przed nią jakaś nieznaną, niesłychaną prawdą ich życia, ich duszy i tych zawrotnych dróg, którymi chodzą poza światem, ponad światem. Ku tym drogom patrzyła zawsze śmiało, chciwie. Wspiwała się odważnie...

Aż orzyszedł dziwny moment, sekunda jasnowidzenia — oto stoi jakby już na szczycie — spojrzęła na świat szeroki i ziemia zakółsała się pod nią. Nie zdoła nigdy stanąć — tam. Nie zniesie wyżyny. Runie.

Lady Hartley podniosła z ziemi pereły, rozprostowała sznury i uniosła oburącz wysoko, uroczyście.

— Patrz, Mariette... — szepnęła.

Chwiały się lekkim wahadłowym ruchem sznury naszyjnika. Cztery pasma klejnotów, mozolnie przez długie lata zbieranych po świecie.

Wieki minęły od czasu, jak wyszły z rodzonej ciemnej puszczy na dnie morza. Rozproszone po szerokim świecie, zdobyły urodę niegdyś istniejących kobiet, zapęłniały ich wieczna próżność. Były pożądane, kupowane za wiele kies złota, za cenę krwi, hańby, zdrady. Oddawano za nie wsie i miasta wraz z losami ludzi w nich osiadłych. Były nagrodą wiernych żon, były zapłatą za grzech. Nosiły je królowe, zdobyły obrazy cudowne po kościołach wschodu i zachodu, stroiły się w nie kurtyzany. Szły z łupem wojennym w dalekie kraje, przechodziły w spadku z pokolenia na pokolenie, przemykały się przez chwytnie palce złodzieja, przez krwawe ręce zbója. Leżały w zastawie u żyda-lichwiarza, zagrabił je władca chrze-

ściański edyktem lub siłą, szły dalej, błędząc po świecie w tłumie ludzi śmiertelnych, opuszczając zmarłych i słabych, idąc do młodych i mocnych.

Ziarna stare, starodawne, niepa-miętne...

Z naszyjnika Kleopatry, Semiramidy, z łona onej wyśnionej Heleny Trojańskiej. Z tyary władców, którzy stawiali pierwsze piramidy, z ołtarza Memnona, z pierścienia chaldejskiego maga-cudotwórcy.

Wieki, wieki, tysiące lat!

Od wieków nurza się w morzu i, dusząc się w głębokiej pomroce, i ginąc co dziesiąty — szuka drżącymi rękoma po ciemnym dnie murzyn, arab, hindus, weneccyanin, grek.

Przybywają młode ziarna i spotykają się ze starami i spotykają się z człowiekiem. Rośnie w bogactwo ludzkość.

Aż nadejdą czasy, kiedy stać będzie człowieka na klejnot nie do wiary i ponad rozum ludzki. Przyjdzie bogactwa szczyt i kres i jego rozpisanie. Zgromadzi się w jednej szkatule pieniądź i pocznie płodzić się poczwarnie. Przeleje się przez brzegi złotą rzeką, popłynie po świecie, kupi wszystko, wszystko zapłaci i przepłaci, aż zachce niepodobieństwa.

I zaczną się ruszać z prastarych swoich miejsc i opuszczać swoich posiadaczy pereły. Rozproszone po ludzkości i krajach, odezwa się nawołanie potęgi, ku najmocniejszemu ciągnąć będą — jak żywe.

Zwałą się, zesypią się bezcenną lawiną z całego świata. Przebiorą je ludzie w gwałcie i w ścisku, depcząc i mordując się nawzajem, wdzierając je sobie. Jak gromada żarłocznego ptactwa, przesyją skarby świata, jak piasek.

Aż zbiorą się wszystkie, które najdosłowniejsze połyskiem i najrzadsze ogromem — królowe pereł.

Oto je nawleka skarb przy skarbie, fortunę przy fortunie na jedną nić chciwa ręka...

Lucy zawzięcie paliła cygaro i co chwila sięgała ręką do kieliszka. Twarz jej pałała, oczy były błędne i czerwone, w nieforemnych jej rysach złość i szal. Nie odrywała oczu od dziewczyny, jakgdyby się chciała upoić na śmierć piołunem zazdrości. Mariette bała się.

— Boże, jakaż potwornie brzydka!... Jaka zła... Za co ona mnie tak niecierpi? Jej się można naprawdę bać...

Lady Hartley ukłękła przed Mariette i odsłoniła jej szyję. Dziewczyna siedziała bez ruchu, jak oczarowana. Drgające, niespokojne palce rozsunęły jej szatę głęboko, aż do połowy piersi. Wionęło czarem — zapachem od jej ciała, od jego niewysłowionej, gorącej, opalonej barwy, połyskującej matowo, jak bursztyn.

Kiedy poczuła na sobie pereły, westchnienie cierpienia i rozkoszy

wzdęło wysoko jej pierś. Przymknęła oczy, przechyliła w tył głowę. Zdawało jej się, że złożono na jej piersi bezmierny ciężar. Czują na sobie każdą perłę, bolącą, jak rana, rozkoszną, jak pocałunek nieznannej potęgi.

I w owej chwili ujrzała wyraźnie świetną gwiazdę swego losu. Geniusz opiekuńczy, dobry duch ukoronował ją i namaścił na władztwo życia. Odtąd bez wahania i strachu iść będzie prosto do celu. Już wie, że dojdzie. Już inne było jej spojrzenie, którym rzuciła prosto w uporczywe, zło czy brzydkiej miss Lucy.

Lady Hartley rozgarnęła jej czarne włosy i włożyła na głowę przepaskę-dyadem, sadzony tęczowo-sinemi perłami. Odstąpiła o kilka kroków i wydarł jej się okrzyk podziwu.

Dziewczyna była, jak bóstwo. Bił od niej czar tajemny. Nie była kobietą. Duma męska i siła męska pisały się na jej czole, przepasanem, jak u królewicza z bajki. Omdłością rozkoszy, pokusą i bezwolnem oddaniem podnosiła się jej dziewczęca pierś. Twardo, bystro, głęboko patrzyły oczy i pożądaniem rozchylały się usta.

Jakgdyby szatan z legendy, bóg zła, przed którym w ciągu stuleci wzdrygały się dusze, pragnące nieba... Wizja mnicha-odstępca — wytwór najtajniejszego marzenia ludzkości — młodzieńczy demon, syn bogą Dionizosa i nieśmiertelnej Rozkoszy... Wysłaniec nieba, skuszony przez piekło, strącony na ziemię i w ludzką postać zaklęty — anioł z czarnymi skrzydłami.

Pierwsza zbudziła się Mariette. Mądra dziewczyna spostrzegła, że lada moment struna może być przeciągnięta. Bała się jakiego wybuchu ze strony swej pani, bała się jakiegóż już nazbyt grubej arogancji miss Lucy.

Szybko i wprawnie odpięła naszyjnik i złożyła go w łóżysku wyłożonem w aksamicie pudełka. Przymknęła wieko. Zapięła peniuar pod szyję i wstała z miejsca.

Lady Hartley miała oczy obłąkane z ekstazy. Mariette rzuciła jej gniewne spojrzenie i zwróciła się do Lucy z uprzejmym uśmiechem.

Ale ta nie dała jej powiedzieć słowa.

— Milcz, pani! Zabierz sobie ten naszyjnik... Daruję ci go! Wyglądasz w nim przeklecie pięknie, jak sam dyabeł.

Mariette roześmiała się z przymusem.

— Nie wierzysz? Myślisz, że jestem pijana? Ja nigdy nie jestem pijana, bywam tylko chwilami wściekła. Nie sprzeciwiaj mi się lepiej!

Mariette śmiała się już zupełnie swobodnie. Lucy wstała porywczo i ujęła ją mocno za oba ramiona.

— Myślisz, że jutro ci to odbiorę? Że ja sama po to przyjdę? Albo

wtoczy się papa i nowie, że ja jestem niepoczytalna, albo, że nie miałam prawa? Głupstwo. Wiem, co robię; bierz!

— Dziękuję bardzo. Ale ja tego nie potrzebuję i nie chcę.

— Nie potrzebujesz czterech milionów?

— Nie potrzebuję, droga pani, i nawet ich nie chcę. Dziękuję za miły żart. Mówmy o czem innym.

— Ada, ta dziewczyna jest szalona!

— Ty jesteś szalona. Wypiłaś tyle! Idź spać!

— Pójdę, ale jak ona przyjmie.

— Nie mów nonsensów, Lucy...

— Czyż ty nie widzisz wyraźnie,

jak na dłoni, że ten naszyjnik będzie

miał dopiero wtedy jakiś sens, kiedy

go będzie nosiła ona, właśnie taka?

Na mnie on będzie zawsze absurdem!

— Idź, już idź. Odprowadzimy

cię. Mariette, bierz ją pod drugą rękę.

Zabieraj szkatułkę!

— Co?! Myślisz, że będę nosiła

perły, które bodaj raz miała na sobie

taka, taka...

— Lucy! Milcz! Milcz! Coś ty

powiedziała?

— Miss Slazenger...

— Cicho, Mariette, widzisz przecie,

że zupełnie pijana.

— U nas dama, nawet pijana,

jak pani się wyraża...

— O, Mariette, ona taka nieszcześliwa...

— Ja nieszcześliwa? Kto tu śmie

się nademną litować? Pluję na was

obie!

Lucy wydarła się, porwała ze

stołu ętni i pobiegła do domu. Od-

wróciła się jeszcze od progu i splu-

nęła ordynarnie. Znikła, trzasła

drzwiami.

Na korytarzu spotkała niez-

iegiomością, który tarmosił się z

lokajem Ady i z człowiekiem w liberyi

hotelowej. Twierdził uparcie, że on

tu mieszka i płaci. Zoczwysz Lucy,

roześmiał się idiotycznie, na całe

gardło.

— Ależ niekna! Ha—ha—ha!...

— Son of a beach... Bicie go!

W łeb! Son of a beach!... W morde!

Kiedy stanęła w swoim pokoju,

ogarnęło ją prawdziwe szaleństwo.

Na garderobianą, stojącą w drzwiach

sypialni, wrzasnęła tak, że dziewczyna

uciekła w jednej chwili. Rymnęła

szkatułką o ziemię i dusiła się z

wściekłości.

Hans mężnie walczył z lokajami,

ale kiedy nadbiegło jeszcze dwóch,

szybko znalazł się na pierwszym

pietrze. Jak piorunem, poraził go

widok szkatułki, którą miss Slazenger

trzymała w rękach. Pijana, niosła

do siebie!

Skarbiec hotelowy, gdzie prze-

chowują się walory i kosztowności

gości, jest na dole. ętni poznał od-

razu, choć nigdy go nie widział na

oczku. O jeden włos... O, Boże...
Gdyby lokaje nie nobieglili byli za

nim na górę — wydarłby jej, zadu-

siłby — jedna sekunda — o, Boże...

W tej rozpaczli wyrwał sobie Lyttona syna, jak, opierając się ręką o ścianę, włócił się, jak niewidomy, i płakał głośno.

— Ludzie, ludzie... gdzie ja mieszkam?

— Lytton, bracie! Patrz, co oni ze mną wyrabiają! Oni mnie... wlo-

ka... utopić! Lytton, bracie, ratuj przyjaciela!

— Precz od niego! To mój gość! Najslawniejszy alpinista niemiecki.

— Mylord pozwoli...

— Ty jesteś Fuchs, po naszymu Fox. Byłeś na Wielkim Glocknerze? I ja tam byłem. Bydło, puszczaćcie go! On będzie u mnie dzisiaj spał. Fox — gadajże, gdzie ja mieszkam?

DCN.

Hall Caine.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

14

Powieść w 3-ch tomach.

Rozdział XXX.

W sypialni palił się także ogień na kominku. Usiadłam na krześle, bez sił prawie, usiłując napróżno zebrać myśli.

Minał tak czas jakiś. Lokaj mego męża wszedł pocihli, otworzył jakąś walizkę, wydobyl szczotki i grzebień swego pana i położył je na tualecie, a jego nocne ubranie na łóżku. Za nim weszła hotelowa pokojówka i uczyniła to samo z memi rzeczami.

— Dobra noc, myłady, — rzekli pocihli i wyszli na palcach.

Nie słyszałam ich. W głowie mi się mąciło. Znalazłszy się po raz pierwszy oko w oko z jednym z najważniejszych faktów w życiu kobiety, zapytywałam samą siebie, dlaczego poprzednio nie pomyślałam o nim.

Cała moja istota była tak pochłonięta duchową stroną małżeństwa, że ten akt fizyczny, który jest najpierwszym jego warunkiem, zupełnie uszedł mojej uwagi, a nikt mi o nim nie wspomniał nawet.

A jednak nie mogłam bronić się nieświadomością. Byłam młodą, ale nie byłam dzieckiem. Chowałam się w klasztorze, ale klasztor nie jest kołyską. Więc czemuż nie pomyślałam o tem pierwej?

Dumając w ten sposób, ogarnięta nieopisanym strachem, łowiłam uchem poruszenia mego męża w sąsiednim pokoju. Słyszałam, jak sobie nalewał wina do szklanki i zapalał cygaretkę. Raz po raz zbliżał się do drzwi, pytając ochryplym szepczeniem, czym się już położyła.

— Nie daj mi czekać tak długo, moja panienko.

Wreszcie zapukał i wszedł.

— Jeszcze nie w łóżku? — rzekł. — Ha, to ja cię muszę rozebrać.

I, nim zdołałam przeszkodzić, posadził mnie sobie na kolanach, rozpuścił mi włosy, śmiejąc się i dając mi różne nieszczośliwe nazwy, od których mi wiedły uszy.

Ale wyrwałam mu się i uciekłam do saloniku, gdzie poprzedzi odkręciłam elektryczność. Podążył za mną, dyszący namiętnością i gniewem.

— Co się to znaczy? — zawołał. — Alboż nie jestem twoim mężem? Alboż nie jesteś moją żoną? Pocóż wychodziłaś za mnie? Czy podobna, abyś nie wiedziała... Otóż to jest wychowanie klasztorne!... Ale twoja ciotka, czemu ta ci nie rozświeciła w głowie?...

Chciałam wejść do drugiej sypialni, lecz mąż mój zagroził mi drogę.

— Nie bądź waryatką — rzekł, chwytając mnie za rękę. — Pomyśl o służbie. Pomyśl, co oni powiedzą. Co powie cała wyspa! Cheesz nas wystawić na pośmiewisko?

Usiadłam przy stole. Mąż mój zapalił cygaretkę. Nerwowo strzasając popiół palcem, zaczął mówić urywanemi zdaniem, że myślę się, jeżeli sobie wyobrażam, iż on pragnął tego małżeństwa. Byłby się mógł zupełnie inaczej ożenić, gdyby miał rozwiązane ręce. Czy mi się zdaje, że człowiek jego sfery pragnął takiego teścia, jak mój ojciec? A ta moja ciotka i kuzynki — uf!

Albo i ten stary mantyka, ksiądz, zapewne mój spowiednik! Także egzemplarz! Czy jakkolwiek rozsądny człowiek pozwoli, aby ktoś trzeci wtrącał się pomiędzy niego i jego żonę i przewracał jej w głowie?

Słuchałam tego ze ściśnionem sercem. Było coś nieopisanie upokarzającego dla mnie w tych poglądach mego męża na nasze małżeństwo. A gdy przypominałam sobie, że byłam przykuta do człowieka, który mówił do mnie w ten sposób, że on ma prawo do mnie, póki nas śmierć nie rozłączy, porwała mnie taka bezsilna rozpacz i taki gniew na wszystko i na wszystkich, że położywszy głowę na stole, wybuchnęłam płaczem.

Mąż mój mylnie sobie wytłómaczył ten objaw. Biorąc moje łzy za kapitulację, objął mnie znowu i ponowił pieszczoty.

— No, no, dajmy już pokój tym małżeńskim scenom — rzekł. — Siedzi usłyszą i wynikną z tego niepotrzebne plotki. Twoja rodzina jest bardzo pospolita, ale ty jesteś z innej gliny.

Śmiał się znowu i całował mnie

w kark, pomimo, że się wzdrygałam za każdym jego dotknięciem.

— Podobasz mi się bardzo, słowo daję, a że cię nie uświadomili, jak należy, no, to już ich wyręczę. Zobaczysz, jakiego dostałaś nauczyciela!

Tego mi już było zawiele. Zerwawszy się na równe nogi, odsłoniłam mu swoją stronę medalu: powiedziałam mu, że wydano mnie za mąż bez mojej woli, że jeżeli on mnie nie pragnął za żonę, to ja jego tem mniej za męża, że wszyscy się sprzysięgli przeciwko mnie i że mnie kupiono i sprzedano, jak niewolnicę.

— Ale na tem dosyć — dodałam. — Zmusiliście mnie do tego małżeństwa, ale nikt nie może mnie zmusić, żebym była panu posłuszną, bo nią być nie chcę.

Widziałam, jak bladł stopniowo.

— Ach! więc to tak — rzekł i zaczął chodzić po pokoju, jakgdyby chciał zdać sobie dokładnie sprawę z mego postępowania. Wreszcie zbliżył się do mnie i przemówił tonem pojednawczym:

— Posłuchaj, Mary; zdaje mi się, że cię nakoniec zrozumiałem. Kochasz kogoś innego... O! nie myśl, że ci to wyrzucam. Wszak ci wiadomo, że i ja znajduję się może w tem samym położeniu. Ale okoliczności spiknęły się przeciwko nam i związały nas. Cóż począć? Musimy sobie jakoś radzić. Mnóstwo osób mojej sfery znajduje się w tych samych warunkach i godzi się z niemi. Więc i my musimy iść za ich przykładem. Nie będę zbyt wymagającym, ani ty nią nie bądź. Możemy sobie urządzić życie każde na swoją rękę. Ale to nie racya, żebyśmy pozostali sobie zupełnie obcy. W każdym razie, nie w dzień naszego ślubu. Ty jesteś śliczna kobieta, a ja... no, nie jestem także potworem. A przytem... jesteśmy mężem i żoną. Więc bez żadnych nadzwyczajnych czułości możemy jednak dać sobie wzajemnie trochę miłych chwil. Tylko się nie bocz, nie dąsaj, a wszystko będzie dobrze.

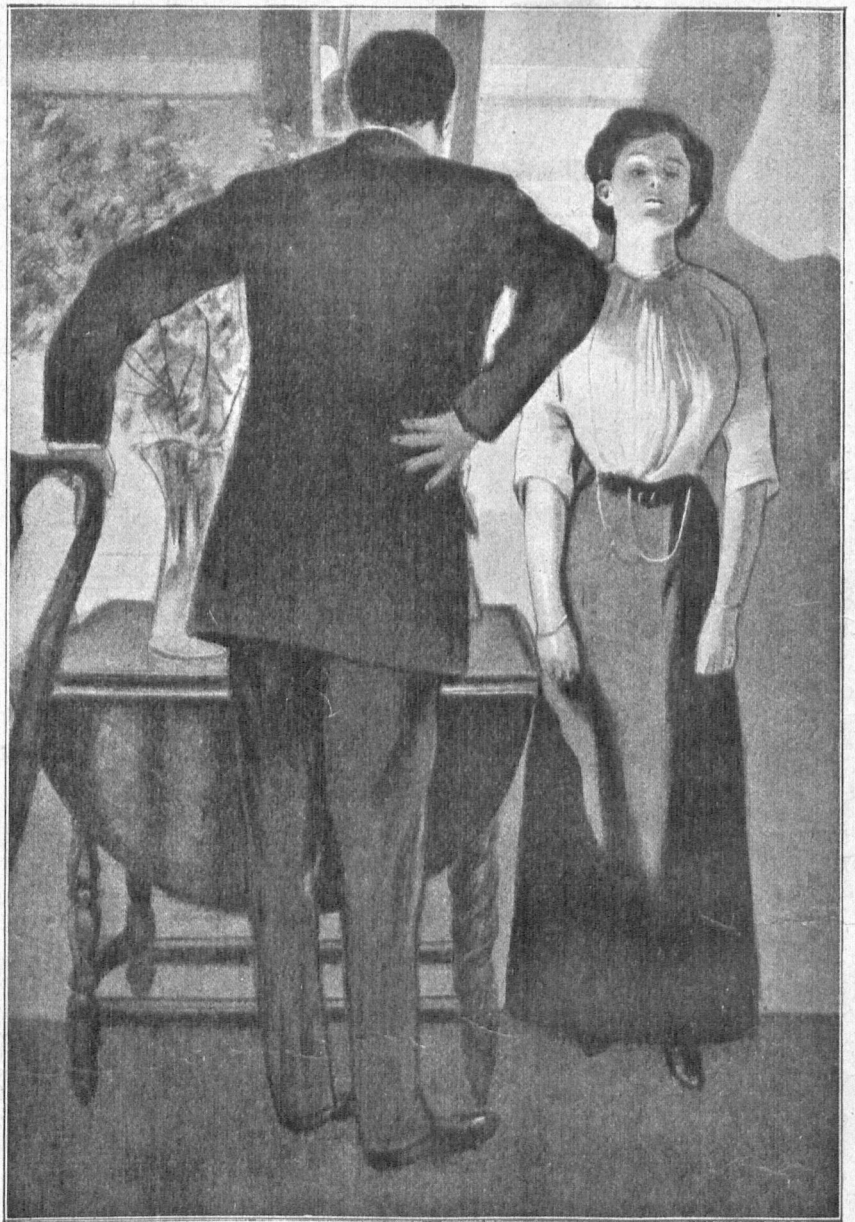
Próbował znów przyciągnąć mnie do siebie, całując mi ręce, ale niemoralność położenia, jakie mi proponował, i zupełne zapoznanie natury mego oporu tak mnie oburzyły, że wyrwałam mu ręce i krzyknęłam:

— Nie! nie chcę! Czy nie widzisz, pan, że cię nienawidzę i brzydzę się tobą!

Nareszcie zasłona spadła mu z oczu. Istotna prawda uderzyła w niego, jak grom, miażdżąc jego męską dumę. Zmienił się straszliwie na twarzy, lecz, powściągnawszy się wnet, rzekł z okrutnym śmiechem, od którego krew zlodowaciała mi w żyłach:

— Mimo to, musisz mi być powolną. Jesteś moją żoną i należysz do mnie. Prawo upoważnia mnie do użycia przemocy i użycie jej.

Te słowa przeniknęły mnie nawskroś, jak tyleż sztyletów. On zaś



...Mimo to, musisz mi być powolną. Jesteś moją żoną i należysz do mnie...

zbliżał się ku mnie z wyciągniętymi ramionami, śmiejąc się brutalnie przez zaciśnięte zęby.

Ale trwoga była już daleką ode mnie. Czulałam się prawie gotową do zbrodni. Coś mnie aż podnosiło, by go uderzyć w twarz z całej siły.

— Jeżeli pan spróbujesz dotknąć się mnie, wyskoczę przez okno.

— Niema obawy! — odrzekł, chwytając mnie w objęcia.

— Puść mnie, pan, natychmiast, albo zacznę tak krzyczeć, że się cały dom zbiegnie! — zawołałam.

To wystarczyło. Odstąpił ode mnie, a ja wbiegłam do pokoiku i drzwi za sobą na klucz zamknęłam.

Rozdział XXXI.

Minał czas jakiś. Siedziałam przed zimnym kominkiem, z głową na dłoni, nadsłuchując, co się dzieje w sąsiednim pokoju.

Mąż mój biegł po nim, jak szalony, roztrzaskując meble, tłukąc naczynia. Po chwili ktoś zapukał do drzwi od korytarza. Poprzez ścianę

ustyszałam stłumiony głos, pytający, czy się co stało. Mąż mój zaczął kląć i posłał numerowego do wszystkich dyabłów.

Wreszcie po upływie jakiejś pół godziny zapukał do drzwi pokoiku.

— Jesteś? — zapytał.

Nie odpowiedziałam.

— Otwórz drzwi.

Ani drgnęłam.

— Nie masz się czego lękać. Nie ci nie zrobię. Chcę tylko coś powiedzieć.

Milczałam w dalszym ciągu. Mój mąż odstąpił od drzwi i po chwili wrócił.

— Jeżeli nie chcesz otworzyć, muszę ci powiedzieć przez drzwi to, co mam do powiedzenia. Czy słuchasz?

— Tak.

Zaczął od tego, że moje postępowanie daje mu prawo do unieważnienia naszego małżeństwa, przynajmniej w obliczu Kościoła.

Jeżeli sądził, że mnie tem przerazi, to się omylił — fala radości zalała mi duszę.

— Mnie to nie zaszkodzi — postaram się o to — ale dla ciebie będzie to wielce niemila historia, taki proces o unieważnienie... Czy zastanowiłaś się nad tem?

Siedziałam wciąż w nieruchomości milczeniu.

— A w dodatku ludzie wezmą nas na języki. Ale ja już na to nie poradzę. W ten sposób żyć nie można.

I znowu uradowałam się w duszy.

— W każdym razie, nim wyjadę, muszę wiedzieć, czego się mam trzymać nadal. Nie zabiorę cię ze sobą, dopóki nie uzyskam jakiegoś zadosyćczynienia. Zrozumiałaś mnie?

Słuchałam, zatrzymując prawie oddech w piersiach, ale nic nie odpowiedziałam.

— Chcę napisać do twego ojca i posłać natychmiast Hobsona automobilem. Czy słyszysz?

— Tak.

— No, znasz twego ojca. O ile wiem, nie jest on człowiekiem, który by tolerował takie romantyczno-religijne wybryki. Czyś zadowolona?

— Zupełnie.

— Bardzo dobrze.

Nastąpiła cisza. Po niej jakimś czasie mąż mój zapukał znowu.

— Napisałam list i Hobson czeka, żeby go zawieść. Ojciec twój odczyta go jeszcze przed pójściem do łóżka. Będzie to pięknym ukoronowaniem uroczystości, jakie się tam we wsi odbywają... Ale ty zapewne trwasz przy swoim?

Nic nie odrzekłam, lecz wstałam i podeszłam do okna. Z jakiejś trudnej do wytłumaczenia przyczyny wzmianka o tych uroczystościach dotknęła mnie do żywego.

— Więc nie masz nic do powiedzenia?

Milczałam.

— Bardzo pięknie. Jak ci się podoba.

W kilka minut potem usłyszałam sapanie odjeżdżającego autobusu.

Wiatr ustał; fale rozbiły się o przystań z monotonnym jękiem, z jakim morze rozpamiętywa minioną burzę; a na skotłowane niebo wypłynął księżyc w pełni i żeglował jak srebrny korab, wśród poszarpanych chmur.

Rozdział XXXII.

Świtało już, gdy zbudziło mnie niecierpliwe pukanie do drzwi i głos wołający:

— Mary! Mary! Wstań! Otwórz mi!

Była to ciotka Brygida, która przyjechała automobilem mego męża. Gdy jej otworzyła, wpadła, jak bomba, w przekrzywionym na głowie czepku i zasypała mnie gradem wół gniewnych, wół żartobliwych wykrzykników:

— W imię Ojca i Syna, co ty znowu wyprawiasz? Ach! ty niewiniątko! Mówże, opowiadaj, jak to było.

Śmiała się, co było u niej niestychaną rzadkością. Ale wprędce rozdrażnienie wzięło górę nad wesołością.

— List jego lordowskiej mości przyszedł w nocy i możesz sobie wystawić, jakieśmy się wszyscy przestraszyli. Ojciec chciał jechać natychmiast, ale mu powiedziałam: „To kobieca sprawa; ja pojedę”. No, a teraz mów, co znaczą te śmieszne ceregiele?

Nie czekając na moją odpowiedź, powiadomiła mnie o treści listu mego męża. Wywnioskowałam z niej, że zapewne dla oszczędzenia swojej miłości własnej zwał wszystko na moją nieświadomość zasadniczych warunków małżeństwa i czynił wyrzuty ojcu i ciotce Brygidzie, że pozwolili mi zaślubić go, nie uprzedziwszy mnie o tem, o czem każda

panna, wychodząca za mąż, wiedzieć powinna.

— Ależ na miłość Boską — mówiła ciotka Brygida — kto mógł przypuścić, że ty *nie* wiesz... Ja byłam pewna, że każda *to* wie, nim włoży długą suknię. A cóż dopiero ty, taka sprytna i domyślna. Nie, Mary! To wstyd, doprawdy wstyd. Ach! ty gasko! (Ciotka Brygida zaczęła się śmiać znowu). Więc skądże, myślałaś, że się ludzie biorą?

To trywialne ośmieszenie mojej wrzekomej panięńskiej skromności dotknęło mnie do żywego, nie mogłam się jednak zdobyć na żadne tłumaczenie, a ciotka Brygida trzepała dalej:

— Teraz rozumiem. To wina Wielebnej Matki z klasztoru! Cóż to za kobieta? Posąg jaki, czy co? Pomyśleć, że miała cię u siebie przez dziesięć lat i ani słowa... To paradne! Ale trzeba sobie wybić klasztor z głowy, moja panno. Jesteś mężatką, a mąż, to nie żaden duchowy oblubieniec, możesz mi wierzyć! To człowiek z krwi i kości, i on z tobą w noc poślubną różańców odmawiać nie będzie.

— Toniałam się ze wstydu coraz bardziej, ciotka Brygida była bez litości.

— Żeby się tak głupio zachować!... To przechodzi wszelkie wyobrażenie. Żona musi być posłuszną mężowi. Nie każdej się to podoba... I ja sama za tem nie przepadałam... Ale żeby się sprzeciwiać!... Nie! To przecieź niestychana rzecz!

Myślałam, że mi krew z twarzy wytryśnie, bo czułam, że w oczach ciotki Brygidy popelniłam jakąś wielką nieprzyzwoitość!

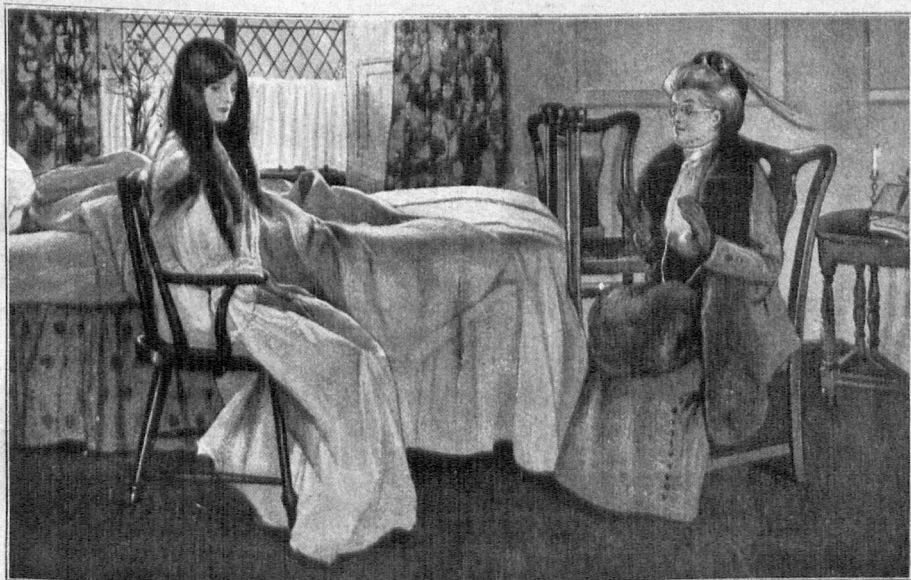
— No, ale trzeba być rozsądną — kończyła ciotka. — Jesteś o nieśmielona, ja także byłam trochę o nieśmielona z początku, ale to prędko minęło. I z tobą tak będzie. Jutro o tej porze śmiać się będziesz sama ze swojej głupoty.

Próbowałam przełożyć jej, że to nigdy nie nastąpi, ponieważ nie kocham mego męża, więc... ale ciotka przerwała mi, mówiąc:

— Nie bądź waryatką, Mary. Twoje panięskie dni minęły i powinnaś wiedzieć, co uczyni twój mąż, gdy będziesz trwała w uporze.

Sądziłam, iż ma na myśli unieważnienie małżeństwa, i serce zabiło mi radośnie, ale zawiodłam się.

— Znajdzie sobie inną — ot, co uczyni i będziesz miała tylko to, na co zasługujesz. A ty mi nie będziesz mogła odpłacić pięknem za nadobne, bo inne są prawa mężczyzn a inne kobiet. On sobie będzie używał, a ty się będziesz martwiła. Więc niema innej rady, tylko zgodzić się z losem. A wreszcie pomyśl i o ojcu. Chcesz mu zgotować taką zgrzyotę po tem wszystkim, co dla ciebie uczynił? To byłoby nie do darowania. Stałabyś się pośmiewiskiem całej wyspy. Więc wstawaj, ubieraj się



...Ależ na miłość Boską — mówiła ciotka Brygida — kto mógł przypuścić że ty nie wiesz...

1 bądź gotowa odpląć z mężem popołudniowym parowcem.

— Nie mogę — odrzekłam.

— Jakto, nie możesz? Nie chcesz raczej.

— A więc tak, ciociu. Nie chcę.

Na to ciotka Brygida uniosła się gniewem, mówiąc mi, że jeżeli się upieram zostać i zamyslam wrócić do domu, to się grubo mylę, bo mnie tam nie przyjmą.

— Mam i tak dosyć tego wszystkiego. Betsy dotąd nie wyszła za męża, twój ojciec o niczem dla niej nie pomyśli, a ta szkaradna Nessay przypodchlebia mi się ciągle. Ach, ty niewdzięczna dziewczyno! Wszystko mi psujesz. Po tylu poświęceniach z mej strony. Ale niechtam! Ja umyłam ręce. Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz!

Z temi słowy ciotka Brygida wyleciała z pokoju, jak z procy.

W pół godziny potem, wszedłszy do saloniku, zastałam adwokata mego ojca, p. Curphy, czekającego na mnie. Popatrzył na mnie z pobłażliwym, znaczącym uśmiechem, który znów wszystką krew rzucił mi do twarzy, następnie posadził mnie obok siebie i gładząc swoją długą, ciemną brodę, zaczął mi tłumaczyć tonem, którym nauczyciel w szkole przemawiać mógłby do krnąbrnego dziecka, jakie mogą być skutki mego oporu.

A były one poważne. Prawo na punkcie stosunków małżeńskich było bardzo ściśle i jasne. Jeżeli żona nie chciała żyć z mężem, wyjąwszy usprawiedliwione powody, jak złe obchodzenie się i coś w tym rodzaju, mąż mógł ją do tego zmusić sądownie, a gdyby się opierała, lub opuściła dom jego, to sąd mógł ją za to ukarać, prosto uwięzić.

— To znaczy, że mąż mój może nawet użyć przemocy, żeby mnie zmusić? — zapytałam.

— W granicach umiarkowanych — tak. I całkiem słusznie. Żona zawarła z nim umowę, i obowiązkiem prawa jest pilnować, czy dopełnia warunków tej umowy.

Przypomniałam sobie, jak mało wiedziałam o tych warunkach, ale czułam się tak zgnębioną i zawstydzoną, że nic nie rzekłam.

— A tak; tak to jest — ciągnął dalej adwokat — Możesz pani zarzucić, że z tego punktu widzenia położenie kobiety, jako żony, gorszem jest od położenia kochanki. I to prawda; ale cóż począć? Takim jest prawo. Raz wyszedłszy za mąż, kobieta przestaje być panią swej woli; a jeśli spróbuje wyłamać się z pod tego prawa, grozi jej, jak już powiedziałam — nawet więzienie.

— To wolę tysiąc razy iść do więzienia — rzekłam, zdjęta oburzeniem i gniewem.

— Eh, eh, kochana pani! Wyszłaś za mąż pod każdym względem świetnie i wszystko się z czasem ułoży. Tylko nie daj się powodować naiwnym porywom, nie psuj sobie

dobrowolnie szczęścia. Pomyśl też i o ojcu... Pomyśl, ile go to małżeństwo kosztowało. Mogę pani powiedzieć, że wyłożył czterdzieści tysięcy funtów, by spłacić długi twego męża, i oprócz tego zagwarantował mu sześć tysięcy funtów rocznej renty. Chcesz, żeby to wszystko stracił?

I znowu milczałam, zdjęta obrzydzeniem, a prawnik, który na swój sposób zarówno fałszywie tłumaczył sobie moje uczucia, jak mój mąż, ciągnął dalej:

— Bądź — że pani rozsądną. Choćby ci się nawet udało przeprowadzić separację, cóż z tego wyniknie? Finansowa strona sprawy nie ulegnie przez to zmianie. Ojciec poniesie ogromną materialną stratę, a pani? Czem będziesz? Zameżną wdową! Najgorsze położenie w świecie dla kobiety, zwłaszcza, gdy jest młoda, powabną i wystawioną na pokusy... Spytaj pani każdego, a powie to samo.

Dławiłam się od wstydu.

— No, no, — mówił dalej adwokat tonem wyższości, ujmując mnie za rękę, jakgdyby chciał mnie poprowadzić niby skrzeszone dziecko do mego męża — zakończmy tę całą kwestję. Jego lordowska mość jest na dole i zgodził się — bardzo to szlachetnie i pięknie z jego strony — czekać godzinę na odpowiedź pani. Ale dziś jeszcze musi jechać do Londynu, i jeżeli...

— Więc powiedz mu pan, żeby sobie jechał bezemnie — wykrztusiłam, trzęsąc się z gniewu.

Adwokat popatrzył na mnie uważnie. Myśle, iż nakoniec zrozumiał, jak rzeczy stoją.

— To pani ostatnie słowo? — zapytał.

— Ostatnie — odpowiedziałam i wyszłam z pokoju, niezdolna hamować się dłużej.

DCN.



Wiadomości literackie.

Z literatury polskiej.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI. „Dusza żydowska w zwierciadle Talmudu“.

Andrzej Niemojewski, znany publicysta, literat, redaktor „Myśli Niepodległej“ ogłosił w książkowym wydaniu studia swoje nad Talmudem. Nie jest to książka, przeznaczona tylko dla fachowców-uczonych, lecz dla użytku każdego myślącego człowieka. Wiele ciekawych i pouczających rzeczy można dowiedzieć się o „rytuałach, o etyce, o obyczajowości“ wyznawców ghetta. Niemojewski miał odczyty na ten temat. Cieszyły się one wielkim powodzeniem. W książce materiały odczytów zostały rozszerzone i wszechstronnie przedstawione. A więc i dla tych, co słyszeli odczyt, książka jest wartościowa, zawiera bowiem wiele rzeczy nowych.

ROMAN DMOWSKI. „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce“.

Broszura ta jest napisana z wyraznym agitacyjnym celem, czego zresztą autor, przywódca narodowej demokracji, wcale nie ukrywa, a co już zgóry mówi, że chodzi nie o rzeczową i wierną historię myśli konserwatywnej, lecz o walkę o swe idee. Pomimo jednak agitacyjności, Dmowski nie umiał zawsze utrzymać się na stopie parlamentarnego kwestjonowania przekonań przeciwnika. Niekiedy też podsuwa zreżymowane insynuacje konserwatyzmowi, które są właśnie metodą jego obozu. Nie uważamy też, by rozdział p. t. „Scriptor“ napisany był przekonywująco, skoro się przyznaje, że „cytaty świadczyły o bardzo skrzętnym zebraniu materiału, o rozczytaniu się w całej publicystyce stronnictwa“. Broszura p. Dmowskiego, jak rzecz polemiczna, spotka się zapewne z odpowiedzią konserwatystów. W ten sposób będzie mógł bezstronny czytelnik osądzić, ile jest w niej racji, a ile agitacji.

KONRAD GOTIN. „Tęczowe spowicia“.

Poezye.

Tom liryków p. Gotina zawiera zwierzenia erotyczne, próbki dramatyczne oraz wiersze na tematy mocno spokojnione z szafami młodej wyobraźni, marzącej cuda o kobiecie. Tonów nowych w pieśniach p. Gotina niema. Forma poprawna. Wydanie bardzo banalne i nieestetyczne.

WŁADYSŁAW KORYCKI. „Odrodzona Szkoła“.

Książka Koryckiego, pomimo wielu usterek, jest nadzwyczaj cennym nabytkiem w literaturze pedagogiczno-publicystycznej. Kocha on dziecko, chciałby je wychować na dzielnego i mądrego człowieka — i to są ważne motywy, dla których książka jego jest pożyteczna i potrzebna. Taki protest przeciw bezdušnej rutynie zawsze wywołuje zainteresowanie sprawą, a to jest najważniejsze.

Z literatury angielskiej.

× Mrs. Ghosal. „An Unfinished Song“. („Niedokończona pieśń“.) Autorka książki niniejszej jest siostrą poety hinduskiego, Rabindra Nath Tagorego, tegorocznego laureata Nobla. Czynną bardzo członkini stronnictwa reformatorskiego w Bengalu, p. Ghosal przyczyniła się wiele do rozpowszechniania obyczajów i pojęć europejskich w Indjach. Jest ona pierwszą kobietą hinduska, która napisała powieść, i to w dodatku w języku angielskim. „Niedokończona pieśń“, której brak jest akcji, możnaby jednak raczej nazwać studjum psychologicznym dziewczęcia hinduskiego.

Miscelanea.

Nakładem Towarzystwa wydawniczego „Irys“, które znajduje się w Moskwie, wypuszczono w rosyjskim przekładzie artykuły Antoniego Chołoniewskiego pod ogólnym tytułem: „Niemiecka opasność“. Artykuły te były drukowane w piśmie naszym p. t. „Miliard margrabię Gerona“.

Znany bakterjolog, dr. St. Serkowski wydał w Paryżu fachową rozprawę p. t. „Les opsonines et les bactériotropines an point de vue des expériences personnelles et la critique de la théorie de Wright“. Rozprawa ta świadczy o wielkim fachowym wyspecjalizowaniu przedmiocie i przyjęta jest przez pisma francuskie bardzo życzliwie. Wydała ją książkę d-ra S. Księgarnia Maloine.